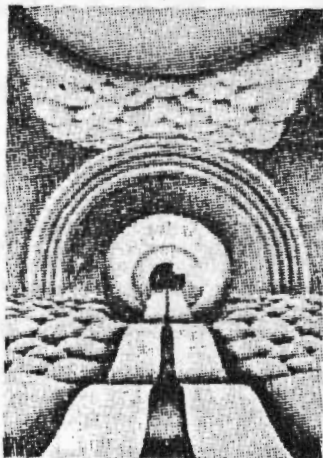


Teatr tygodnia



Przeciw wyświę- caniu

Sali prób warszawskiego Teatru Dramatycznego nadano imię Haliny Mikołajskiej. Zmarłej tuż po czerwcowych wyborach muzy opozycyjnego ruchu, wybitnej aktorki, człowieka rzadkiej prawości i dobroci. Artystki, która przed trzydziestu paru laty odnosiła na tej scenie sukcesy. Mikołajska triumfowała jednak także i gdzieś indziej, najślisniej bodaj pozostając związana z Teatrem Współczesnym w Warszawie, kierowanym przez Erwina Axera. Ze wstydem więc przyznać muszę, że nie rozumiem dlaczego teraz, czemu tam właśnie i akurat z okazji premiery „Krzeseł” Eugene Ionesco urządzono ów przedpokój pamięci. Lektura opublikowanych w grudniowym numerze „Teatru” wspomnień męża pani Haliny — Mariana Brandysa opisującego wcale nie jednoznaczny stosunek luminarzy aktorskiego środowiska

do społecznych poczynań artystki, pozwala nawet zapytać czy to pospieszne wyszczerzenie nie ma służyć ukonieniu nieczystych sumień?

W każdym razie widowisko przygotowane przez młodego reżysera Szczepana Szczykno, w dojrzałej obsadzie Zofii Kucówny i Henryka Bisty, stosunkowo mało przywoływało skojarzeń z kreacją Haliny Mikołajskiej w tej sztuce. Gdy ona grała w „Krzesełach” rolę Starej, była przede wszystkim młoda i znajdowała się w szczytowym okresie swej kariery. Z tego, co wiem o spektaklu (miałem wówczas trzy lata!) i o aktorstwie Mikołajskiej, którą dobrze pamiętam ze sceny, jej sztuka zasadzała się na znacznej dyscyplinie.

O kreacji Kucówny i Bisty nie mogę tego powiedzieć. Pani Zofia próbuje wszystkie swoje znakomite tony. Jest rzewna, oschła, zewnętrznie serdeczna, rozentuzjasmowana i uduchowiona. Lecz Szczepan Szczykno nie potrafił pomóc artystce w doborze właściwych diapazonów. Żadnej wskazówki scenicznej — nie otrzymał też Henryk Bista, rozgrywający rolę Starego w tonacji płaczącej i rozdygotanej, podczas gdy, jak sądzić, powinien przebiegać się ku swej formie zimnej i zewnętrznej, którą tak świetnie ma onanowana.

Sztuka nazywa się „Krzeseła” — a spektakl sprowadza nas do parteru. Po prostu z nieumiejętnie porostawianych na widowni krzeseł nie widać akcji scenicznej, rozgrywanej bez oddalenia i podwyższenia, wprost na podłodze. Zamiast niewidocznych aktorów można więc obserwować jak co młodzi widzowie ześlizgują się, by cokolwiek zobaczyć z foteli na podłogę, potem zaś spłoszeni błoną do siebie sceniczne słowa Starego, gdy wykrzyknęte do wyimaginowanego tłumu: „Osoby, które nie mają miejsca siedzących, powinny dla własnego dobra stanąć pod ścianami, tam z prawej albo z lewej... Nie obawiajcie się państwa, usłyszycie wszystko, wszystko zobaczycie, wszystko, kłóćcie się dobrze!” Niestety. W ołanie realnym wszystkie miejsca okazały się złe — publiczność nie wyimaginowana.

Złe dzieje się dlatego, że młody adept reżyserii uległ częstej pokusie udowodnienia, iż można inaczej. Nasłuchawczy się w Szkole Teatralnej o koniecznej, primordialnej, teoretycznie niezbywalnej (i jakich tam jeszcze używano epitetów) roli: wyróżnika przestrzeni scenicznej, rampy, podestu, oddalenia — zamiast opanowywać rzemiosło, postanowił szukać oryginalności. To znaczy robić wszystko na opak. Aktorów pousadzać na podłodze, a widzów słać na podestach.

Bunt jak bunt, smutne tylko, że tak wyraźne zakreślenie mu granic. I tak ściśle wszystko wykułowano. Gdyż reżyser z własnej lub dyrektora Macieja Piusa inicjatywy najpierw przeprowadza widzów przez słuszne muzeum, potem świeci reflektorami po oczach by wrzescie parze wybitnych, choć dalekich i sobie, i takiemu reprywatowi aktorów kazać wypowiadać w tandetnych dekoracjach tekst któremu brak wymowy.

A przecież inscenizacja „Krzeseł” mogłaby i dziś stać się ważnym komentarzem czy nawet przestroją. Głębiej odczytana okazałaby się opowieścią o ludziach, którzy godnie przeżywszy swe życie nie muszą go nagle uszlachetniać. Harmonijnie zagrana, stałaby się przepyszna drwiną z dążeń osób, które pragnąc zostawić po sobie ślad wołają chórem tak jak Stary i Stara z „Krzeseł”: „Będziemy mieli swoją ulicę”. Poruszyszy widownię taka inscenizacja Ionesco przemieniłoby się w ostrzeżenie dla nazbyt pokornych, przesadnie śmiałych, dla sceptyków i wiernych. A przede wszystkim dla reżyserów, dyrektorów, działaczy, życiowych aktorów którzy sądzą, że nikt nie powie, iż król jest nagł, skoro ten król w swym pałacu jakiejś świętej wystawi kaplicę.

Kat

Eugène Ionesco KRZESIA, reż. Szczepan Szczykno, scen. Agnieszka Zawadowska, muzyka Andrzej Żarycki. Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Sala Prob.